

Maciej Urbanowski: Średniowieczna opowieść Jarosława Iwaszkiewicza

„Czerwone tarcze” to powieść ważnych pytań, ale pytań otwartych. Nie jest to książka, która czytelnikowi daje jakieś jednoznaczne przesłanie. Nie, raczej prowokuje go do zadawania bardzo istotnych pytań. To rzeczywiście powieść historyczna, ale bardziej jeszcze powieść historiozoficzna – mówi prof. Maciej Urbanowski w rozmowie dla Polskiego Radia.

Dorota Gacek (Program Drugi Polskiego Radia): Witam Państwa bardzo serdecznie, dobry wieczór. To kolejna audycja z cyklu „Wyspa skarbów”, w której o swoich lekturowych skarbach, o ważnych dla siebie książkach opowiada Profesor Maciej Urbanowski. Witam Panie Profesorze, dobry wieczór.

Prof. Maciej Urbanowski (krytyk literacki, historyk literatury polskiej z Uniwersytetu Jagiellońskiego): Dobry wieczór, witam Panią, witam Państwa.

Wybrał Pan Profesor „Czerwone tarcze”, powieść historyczną Jarosława Iwaszkiewicza wydaną w roku 1934. Najpierw ukazywała się w odcinkach na łamach „Gazety Polskiej”, a potem właśnie w wydawnictwie Gebethnera i Wolffa. Kiedy książka została wydana, właściwie wywołała dość sprzeczne opinie.

Znalazłam opinię Profesora Tadeusza Sinki, który stwierdził, że „to najlepsza powieść od czasów Kraszewskiego” ale, na przykład, inaczej tę opowieść o czasach Henryka Sandomierskiego ocenił Kazimierz Wyka, który napisał, że „wszędzie odnajdujemy tylko wszędobylskie wypiększenie powierzchni zdarzeń, ludzi, nigdzie nie istnieją te rzeczy samoistnie. Osobą realną powieści nie jest Henryk Sandomierski, lecz styl Iwaszkiewicza”. Jak rozumiem, dla Pana to jest powieść ważna i raczej by się Pan przychylił do zdania Tadeusza Sinki. Ważna od pierwszej lektury?

Tak, bo przypomnę, że „Wyspa Skarbów” dotyczy pisarzy nieznanymi, zapomnianymi, może niedocenianymi i często takich też książek. W przypadku Iwaszkiewicza, oczywiście trudno mówić o pisarzu nieznanym czy zapomnianym. To jest autor bardzo znany, powstają kolejne biografie, są wznowienia jego wierszy, ekranizacje opowiadań...

Poznajemy go coraz lepiej, na przykład, dzięki „Dziennikom”; nie tak dawno ukazały się ich trzy tomy.

Właśnie, więc jest to pisarz bardzo znany, ale właśnie na tle tej bardzo dobrze, czy coraz lepiej, znanej biografii i twórczości. „Czerwone tarcze” są powieścią od początku trochę niedocenianą i chyba nawet przez wielu wielbicieli Iwaszkiewicza traktowaną często marginalnie. Wydaje mi się też charakterystyczne, że książka ukazała się w 1934 roku, ale w III RP właściwie było tylko jedno jej wydanie – w 1994 roku, a więc od ponad 20 lat nie była wznawiana. Ja pierwszy raz „Czerwone Tarcze” przeczytałem dosyć późno; jestem i byłem wielbicielem poezji Iwaszkiewicza, oczywiście też jego nowelistyki, wspaniałych wspomnień, ale „Czerwone tarcze” jakoś omijałem.

Przeczytałem je więc już jako człowiek dorosły, dawno po studiach. Było to dla mnie olśnienie, odkrycie. Zresztą chyba dobrze, że tak późno te „Czerwone tarcze” przeczytałem, bo to jest powieść ważnych pytań, ale też pytań otwartych. Nie jest to książka, która czytelnikowi daje jakieś jednoznaczne przesłanie. Nie, raczej prowokuje go do zadawania bardzo istotnych pytań. Przy tym to jest rzeczywiście powieść historyczna, ale bardziej jeszcze powieść historiozoficzna. Iwaszkiewicz nie rekonstruuje dokładnie jakiejś dobrze znanej historii, a raczej, jak pokazali już badacze, często swobodnie miesza fakty, dopowiada swoje wyobrażenia do mało znanej historii Henryka Sandomierskiego, który jest głównym bohaterem tej powieści. Wszystko po to, żeby postawić istotne pytania dotyczące natury samej historii i miejsca jednostki w historii, władzy i polityki, o to, co właściwie jest istotą Polski, jakie jest miejsce Polski w świecie, i to wszystko czyni, oczywiście także iwaszkiewiczowskim, sugestywnym, niezwykle specyficznym językiem. Krytycy o których Pani mówi, to byli rzeczywiście wybitni czytelnicy Iwaszkiewicza: Andrzejewski, Wyka, Parnicki. Powieść im się rzeczywiście nie podobała, być może właśnie z racji innych zadań, jakie oni chcieli postawić powieści historycznej, ale był też Czesław Miłosz, który uznał, że to jest coś zupełnie wyjątkowego na tle ówczesnej prozy. Bardzo zresztą ciekawie zestawiał Henryka Sandomierskiego z Józefem Piłsudskim, bo „Czerwone tarcze” wydawały mu się bardzo aktualne. Zresztą sam Iwaszkiewicz w jakimś liście pisał, że nie o historię tu chodzi, albo powiedzielibyśmy nie tylko o historię tutaj w tej powieści chodzi. Chociaż ta historia jest oczywiście bardzo istotna.

Iwaszkiewicz pisze tę powieść, będąc sekretarzem poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej w Kopenhadze, kiedy jego żona Anna z córkami wraca do Polski. On jest sam, w jakimś sensie samotny,

bez rodziny, pracuje w ciągu dnia – wypełnia swoje reprezentacyjne obowiązki, podobno pisze popołudniu. I myślę, że też w postaci Henryka Sandomierskiego to się jakoś odbija, bo to jest opowieść o kimś bardzo samotnym.

Ten kontekst biograficzny jest oczywiście istotny, ale ważne są także jego doświadczenia z polityką jako pracownika polskiej ambasady w Kopenhadze. Z tamtej perspektywy widzi on to, co dzieje się wówczas w Europie, a przecież jest to moment bardzo dramatyczny – dojście Hitlera do władzy, wyraźna już jest perspektywa nadchodzącej wojny w Europie. Z tym wiąże się też rozczarowanie Iwaszkiewicza wobec zaangażowania w Unii Intelektualnej. To była organizacja, która chciała zjednoczyć Europę, głosiła ideę pan-Europy. Dużą rolę odgrywali tam intelektualiści, pisarze niemieccy. Iwaszkiewicz przeżywał wtedy fascynację Niemcami, konserwatywną rewolucją, poezją Stefana George’go. To wszystko w momencie dojścia Hitlera do władzy zostaje poddane rewizji: i fascynacji Niemcami, i mitem nowej Europy. Iwaszkiewicz pisze pod pseudonimem Kazimierz Bazar do „Wiadomości Literackich” artykuły, gdzie ostrzega przed hitleryzmem.

W formie literackiej te niepokoje Iwaszkiewicza przedostają się do „Czerwonych tarcz”. Widziano w Henryku Sandomierskim oczywiście współczesnego intelektualistę, a nawet współczesnego artystę zagubionego w świecie historii czy polityki. Widziano też w nim samego Iwaszkiewicza, bo rzeczywiście jest tu i samotność, ale jest też wyjątkowa wrażliwość Henryka Sandomierskiego, która pozwalała mówić o nim jako o artyście w rodzaju Iwaszkiewicza. Henryk Sandomierski niezwykle mocno odczuwa przecież urodę świata, jest czuły na muzykę, na sztukę, podróżuje po Europie dwunastego wieku, trafia do Jerozolimy, do Damaszku, gdzie poczucie inności, obcości

Henryka łączy się ze skłonnością do melancholii – to są artystowskie cechy głównego bohatera „Czerwonych tarcz”, które też stanowią jakąś odpowiedź na pytanie, które zostaje po lekturze tej książki – dlaczego Henryk Sandomierski, który miał tak ambitne plany, tak niezwykle marzenia polityczne, ponosi klęskę?

Jest coś melancholijnego w wielu postaciach Iwaszkiewicza, już po napisaniu „Panien z Wilka”. Wiktor Ruben też jest właściwie takim człowiekiem, któremu życie trochę przecieka przez palce. Wydawałoby się, że Henryk Sandomierski, który ma jakieś wielkie plany, też właściwie jest trochę niezdolny do działania, miotany przez różne wydarzenia, także przez niespełnioną miłość.

Tak, to jest bohater w jakimś sensie bardzo Iwaszkiewiczowski. Z jednej strony przez swoją nadwrażliwość, melancholię i coś, co Jerzy Kwiatkowski określił kiedyś mianem „dominanty rezygnacyjnej” – takie poczucie daremności ludzkich wysiłków. Henryk jest właśnie kimś raczej słabym między innymi za sprawą tej melancholii.

Henryk Sandomierski jest też uczestnikiem ważnych wydarzeń historycznych – tak go przedstawia Jarosław Iwaszkiewicz w tej powieści, chociaż historycy mogą postawić mu bardzo wiele zarzutów. Przeczytałam na przykład, że przesunął datę wyprawy Henryka Sandomierskiego do Jerozolimy. On wyruszył w roku 1154 – a Iwaszkiewicz każe mu już dwa lata wcześniej udać się do Ziemi Świętej – także dlatego, żeby pokazać pewne wydarzenia historyczne. np. ta pierwsza rozmowa z Fryderykiem Barbarosą,

wtedy jeszcze przyszedł cesarzem. To są dwie bardzo ważne sceny, te rozmowy Henryka Sandomierskiego z człowiekiem czynu, człowiekiem zdecydowanym, który chce opanować Europę.

Rozmowa z Fryderykiem Barbarossą, przyszłym, a potem faktycznym cesarzem niemieckim – rówieśnikiem Henryka – jest jednym z kluczowych czy najważniejszych sporów politycznych oraz ideowych w tej książce. Henryk i Fryderyk marzą o dokonaniu wielkich, wspaniałych czynów, marzy im się, jak czytamy w tej powieści, „rzecz większa i jedyna”, ale Fryderyk chce scalić Europę, dąży do całości, do stworzenia imperium, w którym Niemcy będą odgrywały rolę kluczową. Henryk intuicyjnie się tej koncepcji przeciwstawi – tzn. on idei prawa przeciwstawia ideę miłości, ideę wolności. Idei imperium przeciwstawia ideę jakiegoś anti-imperium, albo Polski, która jest częścią jakiejś – dzisiaj byśmy powiedzieli – „Europy ojczyzn”, bo on cały marzy o politycznej i państwowej wielkości, a równocześnie ceni polską wolność, ideę „domowości” Polski. To jest dylemat, który zresztą nie zostanie przez Henryka rozstrzygnięty. W pewnym momencie mówi, że „cesarska korona piękna, ale obrączka z grobu wydobyta” – czyli korona Władysława Śmiałego – więc obrączka, z grobu wydobyta, słodka jest, bo własna”. Ten spór Henryka z Fryderykiem powróci też w bardzo ważnej, wspaniałej scenie, kiedy Fryderyk wkracza do Polski – w obozie pod Krzyszkowem rozmawia z Henrykiem i mówi mu, że może zostać królem polskim, pod warunkiem, że złoży mu hołd lenny. A więc, że Polska, czyli reaktywowane Królestwo Polskie, będzie częścią całości złączonej z Cesarstwem Niemieckim. Henryk intuicyjnie odmawia, a potem cały czas będzie się zastanawiał, czy dobrze zrobił. Te dylematy – gdzie jest Polska, czy jest czymś osobnym, czy należnym do świata Zachodu czy Wschodu – nieustannie wracają w „Czerwonych tarczach”. Także w samym Henryku, który będzie też próbował zrozumieć kraj,

którego chce być królem – Polskę, za którą tęskni, ale której do końca jakby nie potrafi też zrozumieć. W tym sensie to jest też jedna z przyczyn jego niepowodzeń.

Bardzo pięknie o tej powieści pisał profesor Ryszard Przybylski w tomie „Eros i Tanatos”: „los Henryka jest tak bardzo polski – »jeszcze Polska nie zginęła póki giną ludzie«”. Coś takiego jest w tej postaci, takie polskie rozdarcie, melancholia, przekonanie o potrzebie poświęceń.

Rzeczywiście Przybylski właściwie nazywa Henryka „romantykiem” – że to romantyk wrzucony w średniowiecze. Mówi też o Henryku jako „polskim Hamlecie”, który nieustannie doznaje wątpliwości, rozterek, które nie pozwalają mu dokonać wielkiego czynu, zrealizować wielkiego marzenia o nowej Polsce, Polsce królewskiej, o Polsce, która będzie „Nowym Jeruzalem”, bo to się marzy „polskiemu Hamletowi”. I rzeczywiście jest postać bardzo polska dzięki zakochaniu w ojczystej ziemi, w pragnieniu dla niej wielkości. On chce tę wymarzoną wielkość jakby Polsce i Polakom narzucić, a równocześnie nie jest w stanie tego dokonać. Bo też i Polacy okazują się być kimś innym niż od nich tego oczekuje. Fryderyk Barbarossa mówi o Polsce czasów Henryka jak o „bezformiu”, „bezkształcie”. Dlatego też trochę rozumiem tezę Miłosza, który widział w Henryku Sandomierskim Józefa Piłsudskiego – to są wodzowie jakoś tragiczni, samotni, niezrozumiani przez naród i zarazem narodu nie rozumieją.

Pisał Miłosz o gorczy wodzów – Piłsudskiego i Henryka.

Wodzów, czyli wizjonerów, prawda? Którzy potykają się o bierność swojego narodu, swojego społeczeństwa. Ta paralela pokazywałaby nieustającą aktualność postaci Henryka, która też dzisiaj potrafi zaintrygować.

Ci, którzy cenią Jarosława Iwaszkiewicza za jego książki o podróżach, czy z podróży – takie książki jak „Podróże do Polski” czy „Książkę o Sycylii” – także tu znajdą echa podobnych fascynacji autora. Z jednej strony piękne opisy Sandomierzy, a z drugiej strony są sceny odwiedzin Henryka u króla Rogera na Sycylii, bardzo pięknie jest też opisana Etna. Widać, że opisanie tego daje Iwaszkiewiczowi wielką frajdę, jest oddech malarski w tych scenach.

Pierwsza część powieści, w której Henryk Sandomierski ogląda ówczesną Europę – uczy się, czym jest Europa, czym chrześcijaństwo – to jest powieść podróżnicza, w której wracają miejsca bliskie samemu Iwaszkiewiczowi, czyli Sycylia i Rzym, ale pojawia się też Damaszek czy Jerozolima – wspaniale pokazane i opisane. Ale dla mnie, przyznam się, wstrząsem po tej pierwszej lekturze było pokazanie Polski ówczesnej, a więc takich miejsc jak Sandomierz, ale też Opatów, Miechów, Wiślica, Płock, gdzie uświadamiał mi Iwaszkiewicz ich starożytność, dawność i urodę tych, często dzisiaj zapomnianych czy mało odwiedzanych miejsc, w których tworzyło się nasze państwo – moja ojczyzna. To są, z Iwaszkiewiczowską wrażliwością i czułością, pokazane zabytki, architektura, ale też natura – to wszystko jest bardzo malowniczo przetworzone przez filtr specyficznej wrażliwości bohatera „Czerwonych tarcz”. Bardzo mi się podoba zresztą opinia Eustachego Ryłskiego. Przypadkowo niedawno kartkowałem jego eseje i tam Ryłski

zauważa, a ja podpisuję się pod tym, że Iwaszkiewicz w „Czerwonych tarczach” pokazuje średniowiecze – on używa słowa – „uwodzicielskie”, inne od tego jakie wyobrażamy sobie najczęściej, które jest mroczne, wilgotne, zimne, wynaturzone. Jego zdaniem u Iwaszkiewicza mamy do czynienia ze średniowieczem jasnym, trochę baśniowym, w którym urzeczywistniają się najbardziej fantastyczne ludzkie projekty – średniowiecze pełne niespotykanych awantur, podróży w otwartym świecie, gdzie nie ma granic, gdzie duch kultury chrześcijańskiej powoduje, że każdy niemal czuje się obywatelem świata. Z jednej strony Henryk Sandomierski podróżuje przez Niemcy i Rzym na Sycylię, z drugiej strony do Sandomierza dzięki niemu przybywają templariusze, ale także żydowski kupiec Wippo, niemiecki śpiewak Tāli. Jest to więc świat wielobarwny, różnorodny. Jest tu jedność, ale jedność w wielości – to średniowiecze inne, nowe, uwodzicielskie to też coś, co nieustannie mi się podoba w tej książce.

Ja myślę, że zostaje po lekturze tej powieści kilka przejmujących scen. Już o jednej z nich Pan Profesor opowiedział. Chodzi o odkopanie korony Bolesława Śmiałego. Czytałam, że opisując tę scenę, Jarosław Iwaszkiewicz korzystał ze wspomnień Jana Lechonia. Było to już po sprowadzeniu prochów Słowackiego do Polski, z Paryża na Wawel. Podobno Lechoń, który był przy ekshumacji, opowiadał, co tam zobaczył. I też kończy się przecież ta powieść sceną wrzucenia znalezionej wtedy korony do Wisły.

To jest rzeczywiście jedna z najpiękniejszych, najbardziej poruszających scen w tej powieści – moment wydobywania szczątków, właściwie resztek polskiej korony. Ta korona będzie do końca towarzyszyć Henrykowi i ona jest dla niego swoistym świętym Graalem, po którego on – zresztą pod wpływem opowieści o świętym Graalu – on

wyrusza w świat, i ona jest dlań zobowiązaniem do przywrócenia Korony Królestwa Polskiego. Gest wrzucenia na końcu powieści tych resztek korony do Wisły jest z jednej strony wyrazem kapitulacji, pożegnania się z marzeniem, ale też może przekazaniem misji odzyskania korony późniejszym pokoleniom – wiary, że do kogoś rzeka historii tą koronę jednak dotoczy. Ale też wraca tu Iwaszkiewiczowski problem, który znamy zwłaszcza z jego opowiadań: na ile jednostka może zmienić bieg historii, na ile historia – ta metafora się pojawia na koniec – jest ogromną wzburzoną rzeką, która bawi się nami niczym jakąś gałązką czy drewnem wrzuconym w jej spienione nurty, a na ile jednostka może wpłynąć na bieg rzeki-historii. Henryk stawia z jednej strony pesymistyczną diagnozę – mówi: „ważne rzeczy dokonywają się pomimo naszej woli, a te, które za ważne uważamy, stają się piaskiem nabrzeżnym rzeki”. Właściwie więc nie jesteśmy w stanie wpłynąć na historię albo jeżeli wpływamy, to nie wiemy, jakie będą efekty naszych czynów. Ale potem zaraz jednak nasz polski Hamlet mówi, że są ludzie, którzy mogą historię zmieniać. Po trosze on sam też jakoś wpłynął na historię, nie zgadzając się na przyjęcie korony od Fryderyka. Myślę, że to jest ważna książka w dorobku Iwaszkiewicza, zgodził bym się też z Tadeuszem Sinko, że jest to jedna z najważniejszych powieści nie tyle historycznych, co o historii, jaką mamy. Zwłaszcza, że w ostatnich dwudziestu paru latach jednak nie byliśmy rozpieszczani, jeśli chodzi o powieść historyczną czy o powieść o historii. To się ostatnio zmienia – kariera Elżbiety Cherezińskiej jest tego ciekawym przykładem, więc powrót do „Czerwonych tarcz” wydaje mi się i z tego powodu pożądany. Na pewno bym go zalecał.

Rozmowa autoryzowana, emitowana na antenie Programu Drugiego Polskiego Radia w audycji Doroty Gacek *Wyspa skarbów*, dostępna w całości na stronie Polskiego Radia.

